NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 42 Katowice, 23-go października 1932

Na niedzielę dwudziestą trzecią po Świątkach

VANGELJA.

zapisana u św. ..teusza, rozdz. 9, w. 18—26.

W on czas: Gdy Jezus przemawiał do rzeszy, oto nadszedł jeden ze zwierzchników, oddał Mu pokłon i rzekł: Panie, córka moja właśnie dogorywa; — ale przyjdź, włóż na nią rękę swą, a żyć będzie. A Jezus, podniósłszy się, szedł za nim wraz z uczniami swoimi. A oto niewiasta, która od lat dwunastu cierpiała na krwiotok, przystąpiła z tyłu i dotknęła się strzępców Jego płaszcza. Bo mówiła sobie w duszy: Dość mi dotknąć tylko płaszcza Jego, a zdrowa będę. Ale Jezus odwrócił się i spojrzawszy na nią, rzekł: Ufaj, córko, wiara twoja uzdrowiła cię. — I ozdrowiała niewiasta tejże godziny. A gdy Jezus przybył do domu zwierzchnika i ujrzał fletnistów i tłum zawodzący, odezwał się: Ustąpcie, bo nie umarła dzieweczka, ale śpi. I wyśmiewano się z Niego. Gdy jednak usunięto tłum, wszedł i ujął rękę jej: — a dziewczę wstało. I poszła wieść o tem po całej onej krainie.

NAUKA.

„I wyśmiewano się z niego".

Tłum, który wyśmiewał się ze słów Zbawiciela, nie znał Jezusa ni mocy jego. Po wszystkie czasy mnóstwo jest takich, co nie znają Jezusa ni mocy jego. Stąd nigdy nie brak szyderców. Czyś nie spotkał jeszcze człowieka, który szydził z Jezusa lub dzieła jego, Kościoła św., ze Sakramentów św., z kapłanów? To był właśnie człowiek, który nie zna Jezusa ni mocy jego. Gdyby szydził z rolnictwa lub rzemiosła, tobyś ty, rolnik czy rzemieślnik, wzruszył tylko ramionami i powiedziałbyś chyba: szydzi ze spraw, na których się nie zna; mówi, jak ślepy o kolorach.

Lecz jest jeszcze drugie źródło, z którego płyną szyderstwa z religji: to złość, zepsucie serca. Dla ludzi złych jest religja nasza św. jakby zwierciadłem, w którem widzą swą twarz, grzechem zeszpeconą, wykrzywioną namiętnościami. Nauka Jezusowa jest dla nich księgą, w której wyczytują wyrok odrzucenia. Nie dziw się, jeśli tacy szyderstwem chcą zwierciadło to opluć, księgę tę splamić.

Miej litość dla takich ludzi, dla szyderstw ich zimną pogardę. Nie trwóż się ich wyśmiewaniem. Stań mężnie w obronie Jezusa, w obronie Kościoła św. Nie lękaj się, że im się sprostasz. Z pewnością okaże się, że lepiej znasz Jezusa i naukę jego, niż oni, a miłość twoja ku Zbawielowi odniesie zwycięstwo nad ich złością i zawstydzisz szyderców. Amen

Dzień Misyjny

Papieskie Dzieło Rozkrzewiania Wiary.

Więcej niż inne lata należy spełnić wysokie zadanie chrześcijanina w **Dzień Misyjny**, przypadający w tym roku na dzień 23. października. Dwa są tego powody.

Pierwszym jest, ażeby w tym roku jako dziesięcioleciu panowania Jego Świątobliwości Piusa XI wszyscy katolicy dali dowód gorącej miłości wobec Wielkiego Papieża Misyj, który pragnie, aby jak najrychlej urzeczywistniły się słowa Chrystusa Pana o jednej owczarni i jednym pasterzu.

Drugim zaś powodem jest, co następuje:

Jeżeli zawsze należy spełniać obowiązek miłości bliźniego, przedstawiony nam przez Chrystusa Pana a wyłożony dobitnie przez J. Św. Piusa XI, to ten obowiązek z powodu większego w obecnych czasach zapotrzebowania wzmaga się. Dlatego też Kościół św., obejmujący cały świat a na nim wszystkie narody i rasy, odzywa się tak gorąco do swych dzieci, aby im przypomnieć świętą powinność.

A nasamprzód odzywając się do katolików kuli ziemskiej, przypomina odezwa rzymska, że Dzieło Rozkrzewiania Wiary jest dziełem Odkupienia i kultury i dlatego też, **Dzień Misyjny** Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary pobudza wszystkich do coraz dalszego zastosowania dzieła Odkupienia przez umożliwienie korzystania z tego dzieła przez tych, którzy dotąd pozostają w cieniu śmierci; doświadczenie zaś z historycznego rozwoju narodów i ras poucza, że z korzystaniem Odkupienia łączy się prawdziwa kultura, dźwigająca ducha ludzkiego do coraz dalszych i wyższych poczynań. Tem samem postąpi dzieło braterstwa powszechnego, łączące wszystkie ludy pod panowaniem powszechnego Królestwa Chrystusowego, o co mamy się gorąco modlić i z tego właśnie powodu **„Dzień Misyjny"** ma być koniecznie **dniem modlitwy** o te wysokie dobra.

Pozatem ma **Dzień Misyjny** stać się **dniem propagandy**, aby w tym dniu jeszcze lepiej poznać prawdy ewangeliczne, odnawiające ten świat i doprowadzające go do nowego a wspaniałego życia. To życie nowe ma być własnością wszystkich ludzi, którzy w imię braterstwa kierują się wspaniałomyślną **wielkodusznością** a tak ofiarami swemi wspomagają bohaterów, którzy poświęcają swe życie, swe umiejętności, całą swą istotą z miłości ku Bogu, mającym się stać członkami Kościoła św., a będącym dziećmi Boga i naszymi braćmi. Tem samem dołożymy cegiełkę do gmachu całej ludzkości, jaki z łaski Boga przez ofiarność misjonarzy i nasze dary się buduje.

Odezwa rzymska skierowana jest do **wszyst-**

kich dzieci Kościoła św., rozrzuconych po całym świecie, którzy przejęci gorącym duchem apostolstwa, czynić mają, co w ich mocy, aby spełnić swe wysokie zadanie, obowiązek święty, nałożony nam przez Boga a obecnie przypomniany nam przez J. Św. Piusa XI, Papieża Misyj, który w swej pięknej Homilji tak się do nas odzywa: „Gdyby tylko jedna dusza zatraciła się przez nasze skąpstwo, gdyby chociaż jeden misjonarz zatrzymać się musiał w pracy z powodu braku odpowiednich środków, których odmówiliśmy, wzięlibyśmy na siebie wielką odpowiedzialność, nad czem zapewne nie dosyć często zastanawialiśmy się w życiu naszem. Wszyscy w większym lub mniejszym stopniu korzystaliśmy z dobrodziejstwa Odkupienia . . . Za wiarę otrzymaną od Boga, za skarby łask, któremi Bóg nas obsypał, starajmy się wszelkiemi siłami, aby jak największa liczba istot, stworzonych przez Boga, mogła z nich korzystać".

J. Św. Ojciec św. Pius XI kończy swe odezwanie się temi słowy: „Oto czego domaga się dziś od was Namiestnik Chrystusa. Błogosławiony, który pracuje dla dzieł misyjnych, błogosławiony, który je obdarza. Niechaj dowodem naszej wdzięczności i pobudką do hojności waszej stanie się Nasze błogosławieństwo apostolskie. Niech ono spłynie na wszystkich wspaniałomyślnie wspierających **„Dzieło święte Rozkrzewiania Wiary"**.

Złota nić.

Wybrał się raz w świat parobczak młody.

— Idę szukać tego miejsca, w którem ludzkie życie jest mierzone. oB radbym też wiedzieć, dla czego jedni żyją długo, a drudzy króciej, jedni mają życie piękne i jasne, a drudzy smutne i czarne.

— Głupiś! — mówił mu na to stary dziad z brodą po kolana. Nie znajdziesz tego miejsca, choćbyś świat zeszedł, bo go też na świecie nie ma.

— Gadajcie sobie, jak chcecie — odrzekł parobczak — ja nie wierzę, póki nie zmierzę.

I wybrał się. Idzie. A tu droga daleka i nieznana. Albo on wie, jak iść i którędy?

Czarny kruk nad nim przelatuje i kracze.

— Czego chcesz, czarny ptaku, odemnie? Zaprowadzisz mnie tam, gdzie chcę iść?

— Oho! . . . zaszemrała lipa pokrzywionemi gałęziami, onby ciebie nie tam zaprowadził, gdzie życia nitki się przędą, ale tam, gdzie śmierć je nożyczkami przecina, bo on ze śmiercią w zgodzie.

Zachmurzone niebo rozjaśniło się. Pokazały się gwiazdy; a jedna z nich spadła na ziemię.

— Zaprowadzisz mię, gwiazdo, tam, gdzie się przędą nitki życia? — pytał parobczak, ale gwiazda znikła mu z oczu i darmo jej szukał.

Szedł dalej.

Droga była twarda, kamienista i stroma.

Spotkało go dziecię jakieś bose i ubożuchne.

— Zaprowadź mię, dziecino, do nieba, tam, gdzie się przędą nici życia na ziemi.

— A po cóż tam idziesz?

— Chcę wiedzieć, czego tam trzeba, aby uprząść nitkę jak najdłuższą i najpiękniejszą . . .

— O! . . . dobrze . . . dobrze . . . zawołało dziecię nabożnie, a podawszy parobczakowi rączkę, powiodło w stronę bramy srebrzystej. Zasłoniło mu oczy rączką . . . a za chwilę stanawszy na miejscu — rzekło:

— Stój spokojnie i patrz na wszystko.

Spojrzał parobczak i dziwił się. Na obszernej łączce, zasianej kwiatami, siedziało mnóstwo aniołów, trzymających w ręku złociste wrzecionka. Na wrzecionka te zwijają anieli nici uprzędzone z kądzieli srebrzysto białych . . . a pieśń chwały i radości brzmi w około.

Aż tu, o Jezu! . . . nadleciał drobny aniołeczek i przeciął niteczkę jasną . . . Ledwie co się zwijać zaczęła — już urwana.

— Szkoda! — szepnęło stojące obok dziecię . . . tak się to życie ślicznie rozpoczynało — lecz Bóg pragnął mieć aniołka i kazał usnąć dziecinie na wieki.

— O! Najświętszo Panienko! — szepnie parobczak — cóż to na tem wrzecionie tyle już nawinięto, a wszystko czarne jak smoła. I jakże z srebrnej kądzieli czarna nić się snuje?

— Każdy człowiek ma podaną na ziemi jedną drogę życia — cnoty i pracy. Z tej ma się prząść nić, a jaka ona będzie, czy czarna, czy złota, to nie wina przędzy, ale tego, kto ją zwija. Grzeszny człowiek nie może mieć życia jasnego.

— Czemuż Bóg nie każe uciąć tej nici czarnej? . . .

— Bóg czeka na poprawę grzesznika — czeka długo — cierpliwie.

Parobczakowi aż się oczy mienią. Radby wszystko zobaczyć, a sam nie wie, gdzie pierwej spoglądać.

— O rety! . . . co tu dziwów! . . . A no patrzcie — całe wrzeciono nawinięte złotą nitką . . . a jak plama na nim snuje się nitka ciemna i choć złotych zdaje się tysiąc metrów, a ciemnej jeno cal jeden, więcej tej znać, jak złocistej.

— To życie człowieka bardzo dobrego, pracowitego i cnotliwego. Jeden raz jednak zgrzeszył i już ma tu plamę . . . a ta plama nie zetrze się łatwo. Nie uszanował matki, zaklął ją ostro.

— Ach! Boże ratuj . . . myśli w duchu parobczak — to juści moja nitka chyba jak smoła będzie czarna. Wszakem ja tyle razy matkę do łez rozżalił.

Idzie, patrzy . . . a wrzeciona migają przędzą. . . i albo świecą jasno jak gwiazdy lub też ciemne są jak noc.

Chwała Marji.

Chwalcie łąki umajone,
Góry, doliny zielone,
Chwalcie cieniste gaiki,
Źródła i skrzętne strumyki.

Co igra z morza falami,
W powietrzu buja skrzydłami,
Chwalcie z nami Panią świata,
Jej dłoń nasza wieniec splata.

Ona dzieł Boskich koroną,
Nad anioły wywyższoną,
Choć jest Panią niebios ziemi,
Nie gardzi dary naszemi.

Strumyk wdzięcznem mruczeniem
Ptaszęta słodkiem kwileniem,
I co czuje i co żyje
Niech sławi z nami Marję!

Tam na nitce czystej, białej . . . srebrzy się rosa z łanu pszenicy. Co też to takiego?

— To łzy! — mówił dziecina drobna. — Dość w życiu jest cierpień i łez. Jeśli jednak człowiek znosi je cierpliwie i bez narzekania, życie ma jak jasną przędzą osnute, ale gdy narzeka i żali się . . . nie łzy, lecz plamy znać na nitce.

—A to nasza Maciejowa chyba same plamy będzie miała — mówi na to parobczak. — Wiele lat ją znam, nigdym jeszcze nic od niej nie słyszał, jak tylko narzekania.

— Bodaj to z takiem życiem! Lepiej było się nie rodzić. Lepiej sobie śmierć zrobić itd.

— Powiem ja jej, powiem, niech się strzeże.

Idzie człeczyna dalej.

Uśmiecha się . . . ach! . . . Jak tu dużo wrzecion miga prędko, a wszędzie nitki równe, jasne, czyste.

W tem stanął . . . chwycił się za włosy.

— O, dla Boga! . . . chybać ten anioł prząść nie umie, kiedy tak strasznie nici poplątał i tyle węzłów na wrzecionie. Toż go chyba nauczę i wyciągnął rękę, ale dziecię, wiodące go, wstrzymuje i powiada:

— Nie anioła to wina. Umie on dobrze prząść i niejednego żywota wysnuł nitkę gładką i równą. Ale trafiło mu się teraz prząść nić żywota takiego człowieka, u którego pijaństwo, lenistwo i niezgoda są na przedniejszem miejscu niż cnoty, więc też nitka się rwie i plącze . . . a węzłów widzisz ile jest.

Złoci się przędza znów jasna. Tu się przerwie nić na wieki, tam nowe wrzecionko pocznie zwijać raźno, tu znów naprawiają nić grzechem splątaną, wiążą, bo już człek żałuje za winy i poprawia się. Tak tam wiedzą o wszystkiem i według zasługi lub winy przędą nici.

— A ty, mój Aniołku Boży . . . złocisty i jasny — przemówi parobczak do jednego anioła, kornie mu się kłaniając do nóg — czem też nie przędziesz dalej?

—Nie mogę, mój człeku — odrzeknie anioł — bo człek ten, którego nitkę żywota przędę, próżnuje, a próżnowania chwile są stracone i jako zmarnowane nie policzone. Widzisz? ten człowiek dużo lat żyje, a nitki jego mniej jak u dzieciny; spróżnował, zmarnował czas.

Chwycił się za włosy parobczak i rozpłakał:

— Marjo! Królowo Nieba! . . . co będzie? Chyba też i mego życia mało będzie, bom próżnował, co nie miara.

— A tak, nieboże, bo to twoje życie . . . Tam to chłopię, co oto gąski pasie na łące, więcej ma nitki nawinionej, niż ty; idź i pracuj.

Porwał się parobczak i — zbudził.

Słońce zaglądało mu w oczy, wołało do pracy. Wstał i zaczął pracować.

Niedoszłe wesele.

Dzień chylił się już ku końcowi, lecz widno jeszcze, a chociaż i gościniec, prowadzący do wsi Gazdowic idzie prosto i równo jak po stole, to jednak Szymon z Wojciechem, jak gdyby mierzyli szerokość drogi, lub czego szukali, kręcą się z prawej na lewą, a z lewej na prawą stronę, a opierając się po bratersku na sobie, zwolna ku wsi dążą. Jak to pięknie, gdy gospodarze tak szczerze sobie dopomagają w tej ziemskiej pielgrzymce i nie dadzą sobie wzajemnie upaść.

„Ciele ich orzekło!" odzywają się głosy pastuszków, pasących bydło nieopodal, „patrzcie, jak się całują; będzie deszcz!"

Rzeczywiście. — Wojciech nie mógł dłużej powstrzymać wezbranej czułości, więc chwycił Szymona w objęcia, a ściskając go, począł już nie całować, ale po prostu oblizywać jego rozpromienioną twarz, co jeszcze większy wzbudziło śmiech wśród gapiącej się gawiedzi. — Posłuchajmy, jak ze sobą rozmawiają.

„Szymonie, kumie, zacinając się, mówił Wojciech, „jak Boga kocham, co tu gadać, cóż wy mnie to znacie" i znowu słychać było cmokanie.

„Adyć ja wam wierzę", odpowiedział drugi, „przecież my się nie od dzisiaj lubimy, to czemużby moja Zośka nie poszła za waszego Józka; a od czegóż my ojcowie? Nic się nie bójcie".

Wśród ciągłych wykrzykników, uścisków i rzęsistych całusów, zatrzymując się co chwila bez celu, posuwali się zwolna dwaj dobrze podchmieleni gospodarze a wracali właśnie z jarmarku z pobliskiego miasteczka, gdzie wprawdzie nic nie kupili i nie sprzedali, ale się za to dobrze zabawili i ułożyli małżeństwo między Józkiem i Zośką.

Lecz tylko złośliwi ludzie mogą przypuszczać, że nasi gospodarze nie mieli ważnej sprawy na jarmarku; owszem Szymon miał termin w sądzie, ale dowiedział się od woźnego, że już tydzień minął po terminie, a on karę płacić będzie; Wojciech miał kupić młode cieluchy, ale Szymon mu odradził, że ma za mało słomy, a bydło drogie tym razem.

Tak więc dobrze załatwili swe sprawy, a teraz wracają weseli do domu, myśląc o szczęściu swych dzieci, jako dobrzy ojcowie. Szymon Olech i Wojciech Banach to dwaj najzamożniejsi gospodarze Gazdowic, jeden kmieć, a drugi półrolnik a przytem jak mówią, Wojciech chociaż ma mniej gruntu, lecz siedzi na pieniądzach, i mógłby sobie nie taką rolę kmiecią kupić. Postanowili oni uszczęśliwić swe dzieci, nie pytając się ich wcale, czy się z tem zgadzają, bo któżby się tam młodych i niedoświadczonych pytał, kiedy oni nie wiedzą, co to szczęście a słuchać powinni swych ojców. — Zresztą pojmowali oni dla siebie i po swojemu szczęście bardzo dobrze, bo marzyli o tem, aby ich dzieci były kiedyś najbogatszemi w całej wsi a nawet w okolicy dalszej; gdy połączą obydwa gospodarstwa, a do tego pieniądz Wojciecha, czyż wtedy może być źle ich dzieciom? Józef był jedynakiem, Zośka jedynaczką, więc nie będą potrzebowali spłacać nikogo, grunta się stykają, a nic nie stoi na zawadzie, bo nawet pokrewieństwo jest tylko bardzo dalekie.

Nim nasi ojcowie zdążą do wsi, pospieszmy tam przed nimi i rozglądnijmy się nieco.

* * *

Oto gospodarstwo Szymona, nie wiele można o niem powiedzieć, chociaż znać tam zamożność; dom mieszkalny naprzeciwko stajen, gnojny dół za blisko mieszkania, brak czystości na każdym kroku, więc lepiej nie rozpisywać się nad tem, bo tak samo prawiew szędzie bywa. Na wielki, ślicznie kwitnący sad wychodzi okno komory czystej; w okienku z kądzielą siedzi właśnie Zosia, nucąc sobie jakąś

tęskną piosnkę, a oto zbliża się młody parobek dorodny jak ona. Z uśmiechu ich i rumieńca znać, że nie są sobie obcy. Widocznie musi to być syn Wojciecha, młody Józef; jak to pięknie, że i młodzi, nie wiedząc może jeszcze nic o zamysłach ojców; już się mają ku sobie; a będzie to rzeczywiście dobrana para. Rozmawiając z sobą wesoło, śmieją się. On był dzisiaj także na jarmarku a pamiętając o Zosi, kupił jej piękną różową wstążkę. Z uśmiechem radości przyjęła dziewczyna podarunek, wymawiając mu więcej dla zwyczaju, że niepotrzebne dla niej pieniądze wydaje.

W tem nagle rozległ się donośny krzyk Szymona: „A pójdziesz ty Kazek! z mego podwórka, bo ci kości pogruchotam — widzicie go, będzie mi tud ziewczynę bałamucił ;nie dla psa kiełbasa".

Przestraszeni odskoczyli od siebie; Zosia nalegała, by uciekał; Kazek też jednym susem był już nap łocie i znikł nie rzekłszy ni słowa. Dziewczyna zawarła okno i skryła się w komorce przed ojcem.

A więc to nie był Józef Banach; biedna Zosia! może nawet nie przeczuwa, że ojciec bez jej woli swata ją z Józkiem, a tymczasem jej serduszko gdzieindziej się rwało; ona kochała Kazimierza Dobrzyna, chłopaka niebogatego, bo nie wiele miał co prawda gruntu, ale uczciwego, pracowitego. Był on kołodziejem i to najzręczniejszym na całą okolicę. Zosia nie miała matki, przed którąby mogła zwierzyć tajemnicę; ojciec był nieprzystępny, nigdy nie miał czasu i surowo się z nią obchodził.

* * *

Było to po żniwach; u Szymona obchodzą uroczyście zrękowiny Zosi z Józkiem; piwo się leje, Szymon z Wojciechem znowu się całują i ściskają, ale za to państwo młodzi z podełba na siebie patrzą, siedząc z daleka od siebie w przeciwległych kątach obszernej izby. Zosia nie chciała nawet wyjść ze swej komory, ale ojciec jej pogroził i wyprowadził prawie przemocą.

Dziwna jednak rzecz, co niektórym gościom wpada w oczy, że i Józek stroni od Olechówny; czyżby jej może nie chciał wcale, takiej swarnej dziewczyny? I ktoby to powiedział, że to mają być zrękowiny. Matka Józka widocznie także nie sprzyja temu związkowi; kilka razy szeptała coś synowi do ucha, spoglądając na Zosię, ale ojcowie nie raczą na to zważać, bo oni wesoło rozprawiają a piwo coraz więcej ich rozczula.

Nagle Józek przystąpił do Zosi i rzekł dosyć cierpkim tonem:

— Zośka! prawda, że ty mnie nie kochasz?

Ona się nieco zmięszała, a spuściwszy oczka, rzekła:

— Przecież ty o tem wiesz, musiał ci Kazek mówić. —

— No, to nie bój się nic, ja ci na zdradzie nie będę stał, bo ja także, widzisz Zosiu, tylko nie mów nikomu, wolałbym Marysię, ale ojcu tak się z Szymonem zachciało, że nawet mi do słowa przyjść nie dali. —

Zosia z wdzięcznością spojrzała na Józka i chwyciła go za rękę.

— Och to bardzo dobrze, tylko powiedz to Kazkowi, bo on się okropnie gryzie tem wszystkiem.

W tej chwili Wojciech wskazując ręką młodych Szymonowi, rzekł:

— Widzicie Szymonie, jak się wnet zbliżyli do siebie, a mówiliście, żę będą jakieś korowody z nimi; ho! ho! mój Józek, to cięty chłopak; będziecie mieć tęgiego zięcia i powinniście mi być wdzięczni. — Wasze zdrowie.

— Najlepszego — odrzekł Szymon. I starzy znowu popijali, a młodzi tymczasem naradzali się coś po cichu. Postanowili prosić ojców, żeby ich nie wiązali ze sobą, skoro nie mieli ochoty i skłonności do siebie; matka Józka obiecała się wstawić za nimi.

* * *

W kilka tygodni po zrękowinach, na drodze do kościoła Gazdowickiego, widać a słychać było jeszcze lepiej huczne wesele; kilkanaście fur jedna za drugą ubranych chojną, konie parskały tylko, bo dobrze i na owsie trzymane, drużbowie na koniach z pawiemi piórkami przy kapeluszach, w strojnych kaftanach, strzelają na wiwat z pistoletów, muzyka gra siarczyście, słychać wesołe śpiewy i hukania.

To wesele Józka i Zosi. Nie pomogły prośby i błagania, ojcowie się zacięli i ani słyszeć o tem nie chcieli, aby mogło być inaczej aniżeli tak, jak oni już dawno ułożyli. Kościół stał na pagórku; ksiądzp roboszcz słysząc zdaleka weselników, wyszedł przed plebanją, aby się przypatrzeć orszakowi, boć to wszystko ukochani jego parafjanie. Wózki zelżały, bo konie zmęczyły sie trochę, biegnąc pod górę.

W tem dał się słyszeć krzyk i hałas nie do opisania, wszyscy wołali:

— Trzymaj! Łapaj!

Wozy się zatrzymały, muzyka ucichła; słychać było lament jakiś. Ksiądz proboszcz przysłonił oczy od słońca i ujrzał rzecz dziwną i nie do uwierzenia; nie wiedział, czy się ma śmiać, czy gniewać.

Oto pan młody w jednę, a panna młoda w drugą stronę uciekali, zeskoczywszy z wozów niespodziewanie; pospieszyli jednak za nimi drużbowie i przytrzymali zbiegów; — a cały orszak podążył dalej ku kościołowi. Ksiądz proboszcz dowiedziawszy się całej prawdy od państwa młodych, oburzył się bardzo na ojców i surowo zgromił nierozważny i tyrański uczynek, aw reszcie rzekł na ostatku:

— Chwała Bogu, że się tak skończyło, bo inaczej byliby na całe życie nieszczęśliwymi, gdybym ich był za kwadrans stułą związał; jakże mogliście ich zmuszać, jeżeli nie mieli do siebie serca?

Szymon usiłował zwalić winę na Wojciecha, a ten znowu na Szymona, grozili sobie skargami o zwrot kosztów, ale ksiądz proboszcz im wnet wytłumaczył, że oni tu obydwaj zawinili, chcąc sami stanowić o szczęściu swoich dzieci. Skarcił ksiądz proboszcz także młodych, że nie mieli do niego tyle zaufania, aby mu powiedzieć całą prawdę wtedy, kiedy przychodzili na katechizm; tym sposobem narazili tylko ojców na koszta i pośmiewisko.

Dużo o tem w okolicy przez dłuższy czas mówiono: jedni się śmiali, inni żałowali. Józek i Zosia czuli się z takiego obrotu sprawy bardzo szczęśliwymi, bo wnet za sprawą księdza proboszcza odbyły się dwa naraz wesela w Gazdowicach. Józek pojął swoją Marysię, a Zosia poszła za Kazimierza i dziękowali Panu Bogu, a Szymon z Wojciechem znowu się całowali, chociaż po dawnemu byli tylko kumami.